

JEDNODNIÓWKA „KOS”



POLSKIE WESTCHNIENIE.

— Oby to tak z Wilusiem było przy spotkaniu z wujkiem w Wilhelmshöhe.

Wszystko to już było.

Prusak, w puściźnie krzyżackiego przodka,
Tętnąc dla nas zemsty uczuciem zawziętem,
Zdawna takiego poszukuje środka,
Którym Polaków mógłby zgnieść ze szczętem.
Na Madejowe układa nas łoże,
Zadaje ciosy z nadzwyczajną siłą,
Lecz nie nowego wynaleźć nie może,
Albowiem w Polsce wszystko to już było.

Dawno już swoje prowadzi mozoly,
Germanizacji idąc krętym szlakiem;
Myślał, że język wyгнаwszy ze szkoły,
Polaka zrobi natychmiast Prusakiem.
Za polski pacierz do krwi dzieci bije,
Bo „*Vater Unser*” słyszeć mu jest miło,
Lecz duch narodu jak żył, tak i żyje,
Albowiem w Polsce wszystko to już było.

Sądy na stronę antypolską skłania,
Kary nakłada i do więzień wsadza,
Po polsku mówić publicznie zabrania,
Na polskie książki cenzurę wprowadza.
Ale Polacy to plemię uparte,
Nie chcą się jeszcze poznawać z mogiłą —
„Cenzura? turmy? — mówią — śmiechu warte!”
Oddawna w Polsce wszystko to już było.

Gdy nie poradził nic środkami temi,
Nowem się Prusak pieści dziś marzeniem:
Wyzuć Polaków chce z ojczyznej ziemi
I prosty rozbój zowie „wywłaszczeniem.”
Lecz próżno z przyszłej cieszy się intraty,
Polak mu może odpowiedzieć z siłą:
„Luby Prusaku! ziemi konfiskaty
Znamy też dobrze — wszystko to już było.

I chociaż Prusak w głowie spryt posiada,
Choć siedzą chytre w nim krzyżackie gady,
Naprawdę tyle ciężkiej pracy wkłada,
By na Polaków ściągnąć dzień zagłady.
Podbój narodu nie jest jego końcem,
Próżno więc Prusak w sprawę wlaźł zawiłą,
Bo nie takiego nie znajdzie pod słońcem,
Czegoby w Polsce przedtem już nie było.

Poprowadzi napewno.

— Jak ci się zdaje, czy redaktor Zalewski
jest w stanie poprowadzić teatr Rozmaitości?

— O napewno, ale na emmentar, ażeby pocho-
wać go obok „Wieku.”

I śmieje się.

— Mój dziadek, to był jednak najmędrszy
z całej naszej rodziny.

— No?

— Przed samą konstytucją wziął i umarł, a te-
raz leży w grobie i śmieje się.

W kancelarii teatru.

— Panie prezesie! Prasa pana tak strasznie
krytykuje, a pan nic. Na co pan czeka?

— Na akeyzę od papieru, która ma być wpro-
wadzoną. Może przestaną o mnie pisać, jak papier
zdrożeje?

CZASY.

„Warszawskij Dniownik” pisze,
Zajrzawszy do swej kasy,
Że są dla handlu teraz
W Warszawie świetne czasy.
Po sobie widać sądzi,
Zgrywając rolę błazna,
Bo lokal, druk i coś tam
Daje mu przecież „kazna.”
A o tem zapomina,
W subsydjów swych powodzi
Że na wikt, opierunek,
Nie każdy człek się godzi.
Warszawa w znoju orze,
Chleb zjada bez okrasz:
Choć świetne dla „Dniownika”
Lecz dla niej ciężkie czasy.

Nie kłopotcz się.

- Słyszałeś, Kaszubi giną?
- Czy to plemię słowiańskie?
- A cóżes myślał?
- To się nie kłopotcz, nie zginą.

Do Bolesława Leszczyńskiego.

Benefisancie.

Mamy mało miejsca, więc powiemy krótko:
Steruj w polskiej sztuce długo życia łódką,
Niech się dłoń Warszawy jeszcze w oklask zlewa,
Gdy nawet już zniknie ślad Kriwoszejewa.

NOWINY

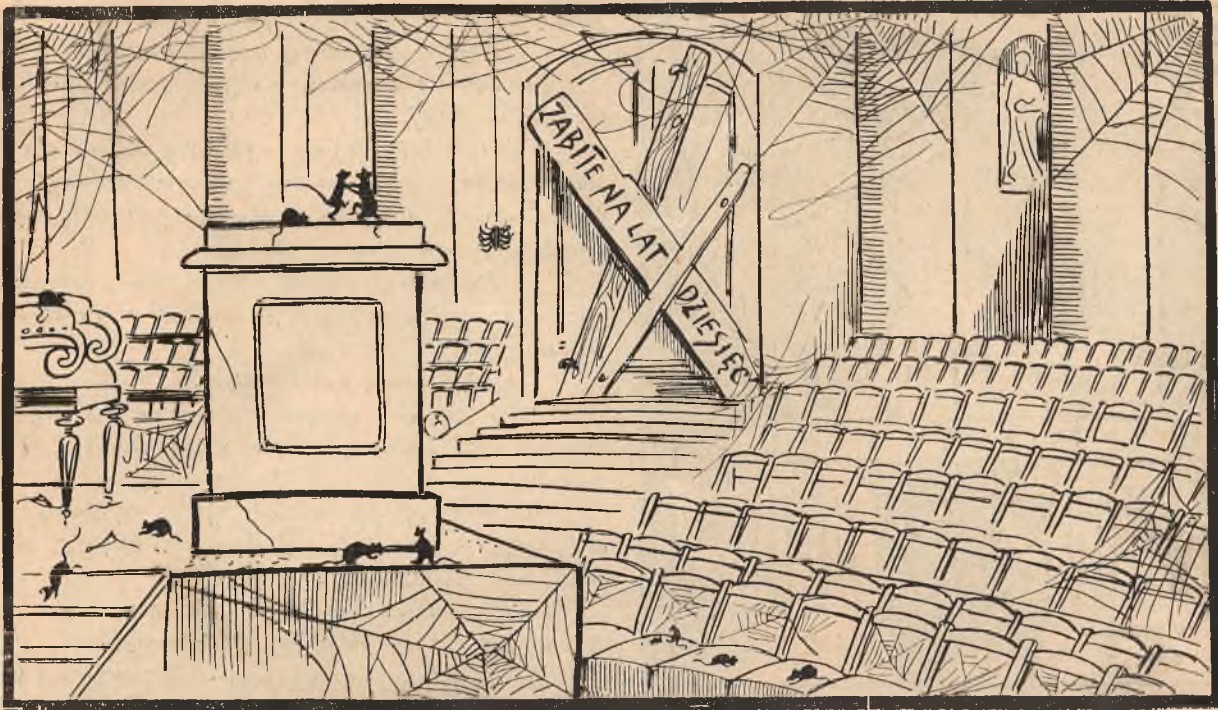
(od wieczora do rana).

— Lokaut piekarski z fazy ciemnej wszedł w ja-
sność, bo piekarnie się pałą.

— Tramwaje elektryczne otrzymały papier urzę-
dowy, że zostanie cofniętą im koncesja, jeżeli do roku
1997 nie ukończą układania szyn.

— Uświadczenie społeczne wśród urzędników ko-
lejowych w Królestwie zrobiło ogromne postępy, gdyż
handel posadami oraz biletami wolnej jazdy doszedł do
zenitu.





Ta czwarta.

Miluchne artykułiki polityczne z pisma „Ruskoje Znamja.”

+ Zwracamy uwagę szanownego oberpolicmajstra miasta Warszawy, że na domu narożnym przy ulicy Bugaj, jedna litera w rosyjskim napisie ulicy jest uszkodzona. Uszkodzenie to uczynił przez figle 7-mio letni syn szewca z Bugaju № 94, parter, za co należy małego, oraz ojca i matkę, wziąć do kozy, tembardziej że starszy ich syn Roman, ma spinki od święta tak zwane krakowskie, z orłem i pogonią, a córka chowa codzien pod poduszkę dwa tomy powieści Bolesławity. Niezależnie od tego narzeczony jej, czeladnik krawiecki z Tamki № 116, przechodząc wczoraj koło gmachu Banku Państwa, spojrzał się na wiszący tam nowy zegar i powiedział: „psiakrew,” a potem z kolegą zwanym: kulawy Izydor, (Smocza 143), pokazywali palcem w stronę Placu Teatralnego.

□ Następujące osoby polecamy panu szefowi żandarmerji w Moskwie, jako kwalifikujące się do natychmiastowego osadzenia w więzieniu: Grigorja Bezsztannawo, Porfirja Niszezawo i Gieorgja, Gołodajuszczawo. Bliższych informacji na papierze udzieli w razie potrzeby wydział denuncjacyjny naszej administracji, za zwrotem kosztów utrzymywania czterech współpracowników naszej redakcji, którzy przez miesiąc pełnili na ochotnika role syszczyków.

S. S. S. S. S. S. S. S. S.

W tych dniach zalegalizowano w Warszawie, nową organizację o dziesięciu literach „S.” Cała jej nazwa brzmi: Stowarzyszenie Siedmiokroć Stutysięcznego Steroryzowanego Stołecznego Społeczeństwa Staczającego Się Stale i Starannie.

Rodzinne szczęście.

Leopold Wölfig, były arcyksiążę,
Rzekł: „ja do żadnych zaszczytów nie dążę;
Nad życie w wojsku, przy orężu chrzęście,
Milsze mi stokroć jest rodzinne szczęście.”

Miłość swym celem postawiwszy głównie,
Wnet się zakochał w Adamowiczównie,
I rzekł, do ślubu wiodąc ją „de-pache:”
„Jestem jak Hektor, co ma Andromachę.”

Po dni miodowych paśmie weale słodkiem,
Zaczęli z sobą żyć jak piesek z kotkiem,
I nieraz Wölfig czuł w sercu ból ostry,
Kiedy mu na kark wsiadały trzy siostry.

Dziś, gdy się z sprawą rozwodową pora,
Jest niepodobny weale do Hektora,
Lecz co smutniejsze i gorsze z kretesem:
Mając Ksantyppe, nie jest Sokratesem.

Dziecko czasu.

— Co? Pan dał najmłodszej córce cały posag? A przecież starsze nie dostały.

— Widzi pan, ona jest dzieckiem czasu; tamte przychodziły z płaczem, a ta we dwa dni po ślubie też przyszła do mnie ale z Brauningiem.

Czy to nie racja?

— Uniwersytet wyjeżdża do Saratowa, Politechnika do Noworossyjska, Agronomja do Kurska.

— A Instytut Weterynaryjny?

— Ten się zostaje, bo u nas okazało się dużo bardzo chorób zwierzęcych.



PROJEKT NAGROBKĄ.

Tu spoczywa Tiedemann,
Z zaciekleści do nas znan,
Fajtnął, klapnął, przestał tyć,
A my dalej będziemy żyć,
Choćby milion, z różnych stron,
Przyszło łotrów, jakim on.

Korespondencja braterska.

I. N. Potusztannikow

Młodszy okołotoczny

Warszawa

Prywiślinje Rosyjskie.

Miły Ilja!

Przysłał mnie nasz przystaw telegramę, żeby ja w Berlin jechał, ruskich anarchistów, którzy tam siedzą, obaczyć. Nie chciało mnie się jechać, bo z niemieckiego tylko *was*, *ja* i *Bier*, a do tego jeszcze *Morgen* rozumiem, no służba nie družba, tak jechać trzeba było. Berlin, brat, gród znaczny, stoliczny—kudy Krakowu lub Warszawie do niego! Przyjechał ja i zaraz na minsto wyszedł, nie to, żeby anarchistów szukać, no policjanta niemieckiego najpierw mnie chciało się obaczyć. Chodzę ja po mieście, no... czort bierz!.. policjanta nigdzie nie widzę. Na ulicach stoją figury ważne, w kaskach na głowie i publika, jak nowobrańcami, komenderują. Myślał ja, gwardyjskie oficery widać, co niemieckiemu Kajzeru ochraniają. No tak jak ja nie był pewny tego, to do Niemca jednego poszedł, kłaniam się jemu i mówię.

— *Morgen*.

— *Mojen*—odpowiada Niemiec i zatrzymuje się. Nie wiem ja, co dalej mówić, tak za rękę jego biorę, figurę w kasku pokazuję i pytam:

— *Was?*—A Niemiec odpowiada:

— *Das ist Szucman*—i już gadać nie chcąc, idzie sobie dalej.

Czort bierz!—myślę—jaka to cholera ten *Szucman*? Może to po ichniemu „generał” znaczy? Wzią. ja na odwagę, do pana *Szucmana* podszedł, rękę do czapki przyłożył i mówię jemu:

— Pozwólcie, wasza wielmożność, przedstawić się: warszawskij policaj, po służbie w Berlin przyjechał.

— *A! Szucman aus Warschau?*

— Pozwólcie, wasza wielmożność, dotożyć: nie *Szucman*, no Potusztannikow moja familja, Tryfon Nikołajewicz.

Kiedy ja to powiedział, figura w kasku śmiać się poczęła, aż za boki się bierze. Kiedy już się wyśmiała do woli, mówi do mnie:

— Ty, *Herr*, nie umię po niemiecku. *Szucman* to jest *Policaj*, policjant, okołotoszny.

— Ot sztuka!—powiadam—tak znaczy my kolegi, a ja myślał, że wy gwardyjski oficer albo generał może.

On znówu śmiać się zaczął, aż brzuch jemu kamaryńskiego tańczył, bo gruby on, jak sam komisarz, widać policja berlińska ładny dochód ma.

— Nu, kiedy my kolegi—mówię ja jemu,—to poszliby my *Bier* wypić.

Myślał ja, że tak jak u nas, kiedy on to ułty-szy, to zaraz z postu zejdzie i na rożek pójdziemy. No nie to tu było. Za nic on zejść nie chciał i tylko powiedział:

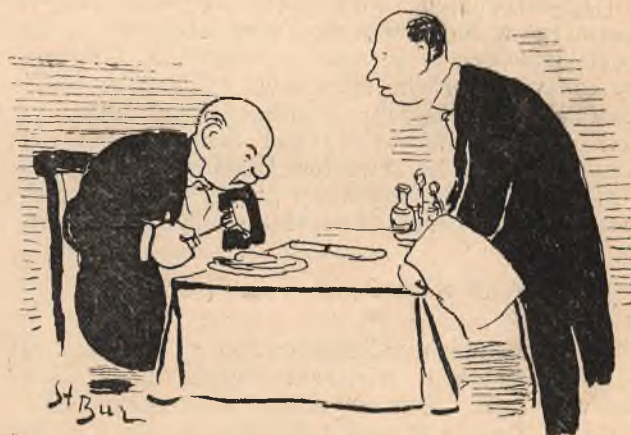
— Ty, *Kollega*, poszczekać 10 minut, ja folny będzie, to fam Berlin pokazać. Ja *russisch* umię, bo ja in *Kattowitz* szandarm był.

Poczekał ja i my potem poszli piwo pić i Berlin oglądać. Uczony on człowiek ten *Szucman* i wiele rzeczy mnie powiedział, które ja tobie później opiszę, bo zaraz u mnie czasu nie ma.

Obejmuję ciebie i całowanie ślę.

Twój brat

Tryfon.



— Co ten serek tak czuć?

— A bo to, proszę pana: „istinno-limburski”.



— Niech ptak zdechnie, ale go całego żaden z nas nie dostanie!

Magistrat i Rada Miejska Dobroczynności.

I.

Miła sercu memu Rado!
Miałem troski z tobą spore,
Choć masz fizys z smutku bladą,
Ja szpitale ci odbiorę.

Trudna sprawa... cóż po żalach,
Gdy mi sprawiasz moc zawodu,
Bo mrą chorzy w twych szpitalach
Nie z choroby, ale z głodu.

Jesteś w długach, jesteś w nędzy,
Na nic tu i złote deszcze;
Gdy ci sypnę garść pieniędzy,
Ty mi zaraz wołasz: „jeszcze!”

Chociaż ci się serce kraje,
Daj szpitale mi — a zatem
Kłaniam ci się i zostaję
Czułym dla cię

Magistrem.

II.

Mój kochany Magistracie.
Bierz szpitale w swe obręcze.
Że nie zyskasz na mej stracie,
Za to mojem słowem ręczę.

Że mnie smuci fakt ten cały,
To rzecz jasna, oczywista,
Wpadniesz jednak ty w kawały,
Bo nie jesteś specjalista.

I ty spotkasz się z panamą
I biadając nad rozchodem,
Będziesz wkrótce też tak samo,
Jak ja — morzył chorych głodem.

Więc szpitale zabierz sobie,
Gdy koniecznie tak wypada,
Lecz mnie zostaw też przy żłobie
Tego życzy

Wierna

Rada.

I U NAS NIE MA.

— Przepraszam pana, ale dla czego to w Ameryce nie ma socjalizmu?

— Alboż u nas jest?

— Co też pan mówi? Małoż ich chodzi po ulicach?

— To są, kochany panie, tylko socjaliści, ale prawdziwego socjalizmu u nas nie ma.

..... höhe.

— Podobno król Edward ma się zobaczyć z Wilusiem w Wilhelmhöhe.

— Czy to nie omyłka zecerska?

— Dla czego?

— Bo to miejsce, w którym król Anglii zobaczy się z cesarzem niemieckim, powinno się nazywać Edwardshöhe.

Rok samorządu dla Królestwa.

Styczeń. Mróz ziemię ścisła,
Chuchają w dłoń ludziska,
Rozbrzmiewa okrzyk wszędzie:
Samorząd u nas będzie.

Luty. Przy śnieżnym prądzie
Mówią o samorządzie.
Minister w Petersburku
Ma cały projekt w biurku.

Marzec. Już śnieg topnieje,
Samorząd nam się śmieje,
W powszedni dzień i w święta
Komisja nim zajęta.

Kwiecień. Drzewo zakwita,
Minister wszystkich pyta,
Jakiego kto poglądu
Na projekt samorządu.

Maj. Miłość, czar, ponęta,
Słowiki i kureczęta.
Komisje (w drobnej dawce)
Potrzebni rzeczoznawce.

Czerwiec. Żab milion skrzeczy,
Są już świadomi rzeczy,
Z komisją mile gwarzą,
Samorząd dla nas smażą.

Lipiec. Niezgodni w ćwierci
Z komisją są eksperci,
Więc by uniknąć seysji,
Rozjemczej trza komisji.

Sierpień. Już są na trawce
Komisja, rzeczoznawce,
Samorząd więc, znużeni,
Schowali do jesieni.

Wrzesień. Zakwitły wrzosey,
A samorządu losy,
Choć fala życia bystra,
Są w biurku u ministra.

Październik. Żółkną drzewa,
Komisja gada, ziewa,
Głos się odzywa w prasie,
Że kwestja nie „na czasie.”

Listopad. Wicher wyje,
Komisja ledwo żyje,
W jesienne dni szarugi
Zakłada projekt drugi.

Grudzień. Na drzewach szrony,
Samorząd odroczony
Na rok, na dalsze lata,
Aż do skończenia świata.

Sauve qui peut.

- Podobno pepeesy mają brać udział w tego-
rocznych wyborach. Co ty na to?
- Lecę po pasport zagraniczny.
- Dla czego?
- Ja jeszcze chcę trochę pożyć na tym
świecie.

WYGODNIEJ.

— Petersburgska Agencja telegraficzna otwiera
sobie trzy główne punkta w Królestwie, skąd iść
będą wszystkie telegramy do Petersburga.

— Bardzo proste. Toć każdemu taniej i wy-
godniej obełgiwać świat w sprawach polskich z trzech
miejsz anizeli z kilkuset.

Pomieszało mi się.

Już się Korea na sztuki rozpada,
Stanisław August jedzie do Mikada, —
Przepraszam: Li-Hung, by wszedłszy w te wrota
Tam w Peters... w Tokio skończyć dni żywota.
Chciałem napisać poemacik cały,
Lecz tak osoby mi się pomieszały
Że ja, co lubię zawsze rzeczy ścisłe,
Przeniosłem z Jalu wszyściutko nad Wisłę.
Wolę więc zerwać i już skończyć zatem
Z polsk... z koreańskim smutnym poematem.

Zmęczyli się.

— Czy w tym tygodniu nie będzie nic u was
o Kempnerach?

— Nie.

— Dla czego?

— Żał nam czytelników; zmęczyli się, trzeba
im dać trochę odetchnąć.

Nadesłano nam poniższy list do zamieszczenia.

REDAKCJA
TRĄBY
DEMOKRATYCZNEJ

WARSZAWA

1902

*Szanowny Panie
Pióropowicki
Racz Wilhelmowi Panu napisać
Tasławie pióropowicki artykuł przeciwko
zakorzenionemu w Polsce zwyczaju
jowi używania w listach tytułu
„Wilmoziy”. Opatrz iż rozumie
Wilmoziy Pan, iż artykuł ten
przeznaczony dla abonentów naszej
„Trąby” musi być trzymany w to-
mie silnie demokratycznym.
Porozumiej Wilmoziwego Pana
umysłowy strach.
Klawery Postępowice
Redaktor*



— Chcecie, żebym był istinno-ruski? Już jestem.

Gazety niemieckie w Łodzi.

Czytając niemieckie *blatty*,
Co w Łodzi licznie się płodzą,
Człowiek się pyta zdumiony:
W jakim to kraju wychodzą?

Z treści nie poznasz zupełnie,
Że to miejscowa poczwarka,
Ojczyzna dla nich to Prusy,
A zaś waluta — to marka.

Stolica dla nich to Berlin,
O którym w każdej snią chwili;
Gdy wyraz „mila” powiedzą,
To myślą o pruskiej mili.

Bohater dla nich to Bismarck,
Człowiek — to Prusak lub Niemiec,
Choć w polskim mieszkają kraju,
Lecz Polak tu — cudzoziemiec.

Jednakie wszystkie są *blatty*,
Prawe, środkowe czy lewe —
I gdy je czytasz, to myślisz,
Żeś przeniesiony nad Szprewę.

. Tylko tyle?

— W Związku narodu rosyjskiego, zdefraudowano 300,000 rubli.

— Tylko tyle? Przecież tam zasiadały takie grube ryby?

Dwie drogi.

— Cóżś taki smutny i przygnębiony?

— Bo się biję z myślami. Tak mi strasznie źle na świecie, że nie wiem, czy się zastrzelić, czy wstąpić na redaktora do jakiego pisma humorystycznego?

PRZYSŁOWIA.

Gdy nam kto kolki chce ciosać na głowie,
Kiedy nam bardzo niedobrze się dzieje,
Wnet wspominamy to smutne przysłowie:
„Biednemu w oczy zazwyczaj wiatr wieje.”
Lecz zamiast puszczać łez okrutną strugę
Niech nam do głowy myśl przyniesie skora,
Że w księdze przysłów jest także i drugie:
„Dłużej klasztor, niżeli przeora.”

Ten nas ściga.

— Nie wiesz, co też ten książę Monaco robi ciągle w Berlinie u Wilusia?

— Pewnie jeździ co tydzień po wskazówki, jak ma ogrywać Polaków w Monte-Carlo.

On się przyzwyczaił.

— Chciałbyś, ażeby zniesiono stan wojenny?

— Za nie na świecie. Przyzwyczaiłem się do niego od lat wielu i jest mi z nim zupełnie dobrze.

Biedni Koreańczycy.

Na Europy ląd
Korejskich grono gości,
Przybyło, aby stąd
Dostać sprawiedliwości.
Śląc wszędzie mnóstwo not
W obronie swej stolicy...
Trafil kula w płot
Biedni Koreańczycy!

Słyszeli od lat stu,
Od dziada i pradziada,
Że prawda rządzi tu
I sprawiedliwość włada.
Dziś gdy kraj bierze im
Japończyk żółtolicy,
Ufają słowom tym
Biedni Koreańczycy!

Niebawem z wiarą swą
Zawiedli się okropnie,
Bo tu, gdy pada kto,
To go Europa kopnie.
Tu fałsz wziął wszystko w sieć,
Pięść rządzi bez granicy,
A pomoc chcieli mieć
Biedni Koreańczycy!

Próżny podróży trud,
Wnet padnie państwo całe,
Przywdzieje cichy lud
Żałobne szaty białe.
Kraj ściśnie chłodna stal
I chytry politycy...
Ach, jakże nam was żal
Biedni Koreańczycy!

DWIE DEPESZE.

I.

Ta, która była w „Berliner Tageblacie.”

Warszawa, 1 sierpnia. (Tel. wt.) W Królestwie Polskiem wre powstanie. Warszawa w ogniu. Tysiące ludzi uzbrojonych od stóp do głów walczy z wojskiem rządowym. Znaczniejsze gmachy runęły.

II.

Ta, która powinna była być w „Kurjerze Warszawskim.”

Berlin, 2 sierpnia. (Tel. wt.) Niemiecko-żydowsko-lajdacki organ: „Berliner Tageblatt,” rozsiewa tendeneyjnie kłamliwe wieści o Królestwie Polskiem i Warszawie. Cel tych wieści: wzbudzenie nieufności rządów do Polaków. Przestańcież nareszcie abonować tysiącami ten podły świstek, bo dajecie sobie w obec Europy tylko świadectwo głupoty.



W okulierni na Dziki-Gass.

— Wyszła jakaś książka niemiecka o Polakach.
— Co w niej stoi?
— Że Polacy są niewdzięczni, bo największymi przyjaciółmi Polaków, byli zawsze Niemcy.
— No to ja też byłem wczoraj, przy szabasie, największym przyjacielem faszerowanego szczupaka, bom go nożem pokrajał i zjadł.

— Co słyhać w Łodzi?
— Co ma być słyhać? Oni się zabijają.
— Czy i żydzi też?
— Symcha, przestańcie się tak głupio pytać, bo was odsuniemy od tego stołu. Wam się może zdaje, że wśród naszych żydków, to już nie ma wcale „hamerkopów,” tylko wśród gojów?

— Kto wie, czy ja nie wyjadę w tym roku do Karlsbad? Mnie żołądek boli.

— To byłoby niemądrze z waszej strony, Jojne, wyjechać w tym roku do Karlsbad.

— Dla czego?

— Wy przywieziecie stamtąd zupełnie wyglansowany żołądek, a we dwa dni po powrocie może wam pierwszy lepszy bandyta ten śliczny żołądek rozpruć.

— W Chinach ma być wprowadzona konstytucja.
— Co wy mówicie? To dla nich wielkie nie-szczęście jest.

— Ja tego nie widzę. Chińczyków jest pięćset milionów, jak nawet przy konstytucji zabiją sto milionów, to jeszcze się dosyć zostanie.

Ruscy posłowie w Wiedniu.

Wyśmiani i wyszydzeni,
Bez żadnych zwycięstwa znaków,
Poszli do domu Rusini,
Co mieli zgnać Polaków.
Wnyki sprawią im wyborcy,
Że aż piszczele zachrząscią,
Niech wiedzą, że polityka
Robi głową się nie pięścią,
Że niedość wymyślać w sejmie,
Golnawszy przedtem ratafji.
Tak zabłysnąć w polityce
I Puryszkiewicz potrafi.

